

Od autora: z cyklu Opowieści wierutne.

*Sekret wart jest tyle, ile warci są ludzie,
przed którymi powinniśmy go strzec.*

Carlos Ruiz Zafón

Kirke

Wyznałem swoją tajemnicę pewnego dnia, wieczorem, w barze. Wypsnęła mi się po prostu, nim zdołałem to spostrzec, i mimo że kolega z pracy, z którym poszedłem na drinka, był życzliwy i na poziomie, ogarnął mnie lęk, bo Babcia zalecała ostrożność.

– Nie działaj pochopnie – mówiła. – Uważaj. Jesteś tak szczery i prostoduszny, że wyciągną to z ciebie i wszystko przepadnie.

Uważałem więc i nie działałem pochopnie, tylko że tamtego wieczoru, połaskotany mile uwagą kolegi (który był, bądź co bądź, jednym z ważniejszych pracowników firmy), popuściłem cugli, no i wyrwało mi się niespodzianie.

– Mam pewien sekret – szepnąłem. – Cięży mi na duszy i ulgą byłoby, gdybym mógł się nim podzielić, ale nie mogę tego zrobić... obiecałem nie robić...

(Fakt, obiecałem).

Kolega zastygł z uniesionym drinkiem.

– Chciałbym pomóc – powiedział, poważniejąc – ale, oczywiście, rozumiem. Szanuję twoje rozterki i nie będę ich powiększał, wyciągając cię na zwierzenia. Możesz jednak liczyć na mnie. Na moją dyskrecję...

Babcia zachnęła się, kiedy wróciłem do domu. Wystarczyło, że spojrzała mi w oczy.

– Puściłeś farbę – stwierdziła oskarżycielsko.

– Nic złego się nie stało – zacząłem wyjaśniać.

– Mówisz, że jest dyskretny? – spytała. – A jeżeli?...

I westchnęła.

Chodziłem nadal do pracy, zmartwiony i czasem z trudnością ukrywając niepokój. Nie zauważyłem więc początkowo, że coś zaczęło się zmieniać. Koledzy znacznie częściej niż przedtem podchodzili do mnie na chwilę rozmowy. Potem niektórzy, jakby mimochodem, wspominali o pójściu na drinka. Sekretarka, nigdy niemająca dotąd czasu na uśmiech (zresztą byłem za mało ważny), nie tylko uśmiechała się, ale i zaczęła odpowiadać na powitania. Jednym słowem, coś wyraźnie się działo.

Kolega, o którym wspomniałem, poklepywał mnie po ramieniu, spotykając przy wejściu, a dziewczyny?! Dziewczyny zaczęły flirtować i zanim się spostrzegłem, mój terminarz wypełniony był mnóstwem zaproszeń.

Biegałem więc na spotkania, nieignorowany już jak poprzednio, nie siedząc milcząco w pustym kącie, ale, o dziwo, będąc w samym centrum uwagi. Umawiałem się na kolejne randki i coraz częściej łądowałem z dziewczyną w łóżku.

Babcia kiwała głową. – Mówiłam, że tak się stanie... że to wszystko odmieni...

– Przesadzasz. To nie to – zaprzeczałem gwałtownie. – To ja się zmieniłem i zaczęli mnie lubić.

– Niech ci będzie! – Machała ręką.

Faktem było, że nagle wszyscy zaczęli zwracać uwagę na moją przydatność dla firmy. Miałem pełne ręce roboty. Nawet kierowniczka działu, istna góra lodowa, zaprosiła mnie (tak, zaprosiła!) do swojego gabinetu, by przedstawić pewien projekt i spytać, co sądzę. Zachowałem oczywiście powagę, chociaż przy mojej twarzy, o której Babcia mawiała z przekąsem, że jest jak okno z widokiem na wszystko, było to cholernie trudne. Szefowa podała mi rękę i odprowadzając do wyjścia, napomknęła przyjaźnie: – Wpadnij jutro na kawę. Czeka nas masa roboty.

Nas?!

Babcia chichotała, podśpiewując pod nosem: – W górę, w górę, miły bracie...

A ja zawiązałem nowy krawat (kupiony po ostatniej podwyżce) i poszedłem na randkę.

W eleganckiej restauracji, w której zamówiłem stolik, dziewczyna, jedna z tych dawniej nieosiągalnych istot, rozplątywała się w uśmiechach. Siedzący parę metrów dalej szef wydziału, mimo iż zajęty rozmową, dostrzegł mnie i konfidencjonalnie skinął ręką. Jak swój do swego. Oczywiście wszyscy to spostrzegli. A jeżeli nawet nie widzieli na własne oczy (na przykład młodszy pracownicy firmy, do których od niedawna dopiero przestałem należeć), to przynajmniej poznali z cudzych relacji. Wszędzie teraz spotykałem się z należytą atencją i niebawem tak do tego przywykłem, że kiedy portier podbiegł, by otworzyć drzwi, potraktowałem to jako coś samo przez się zrozumiałe.

– Jaki jesteś tajemniczy – szepnęła później dziewczyna (byliśmy w łóżku). – To takie podniecające, naprawdę...

Babcia krążyła po domu, podśpiewując.

A potem, któregoś dnia, po kolejnej podwyżce, dostałem wezwanie. Sekretarka z uśmiechem wprowadziła mnie do gabinetu szefa. Naczelnego, rzecz jasna. Rozmowa była krótka, rzeczowa i konstruktywna. No i zacząłem awansować. Już na poważnie. Stworzyli dla mnie osobny resort, dostałem własną sekretarkę, a gabinet urządził osobisty projektant samego prezesa. Piąłem się coraz wyżej.

Aż wreszcie nadszedł dzień, gdy przegłosowano przyjęcie mnie do grona wspólników.

Babcia uśmiechała się tajemniczo, tanecznym krokiem sunąc przez mieszkanie.

– Wiesz, co robić? – zapytała krótko.

Skinąłem głową w milczeniu. Następnie włożyłem nowy garnitur (oczywiście szyty u dobrego krawca), a ona zawiązała mi krawat na szczęście i wypchnęła z mieszkania. Przy bramie czekał szofer. Zdjął czapkę i otworzył przede mną drzwiczki samochodu.

W sali posiedzeń, tej prywatnej, tylko do użytku wspólników, powitał mnie szmer rozmów. Sam prezes podszedł do drzwi i wręczając lampkę koniaku, uniósł swoją w geście toastu.

– Za nowego wspólnika! – powiedział i wszyscy wypili z uśmiechem.

A potem otworzył następną butelkę, zaczęto mi gratulować, atmosfera wyraźnie uległa rozluźnieniu i ja coś przestałem mieć się na baczności.

– Drogi chłopcze – zagadnął prezes, familiarnie obejmując mnie ramieniem. – Teraz już chyba możesz zdradzić nam ten sekret. Jesteśmy tu sami swoi.

Zaległa cisza.

Panowie odwrócili się w moją stronę, patrząc z wyczekiwaniem, a ja wpadłem w popłoch.

– No... – dobrotliwie nacisnął prezes, ale wiedziałem, że nie pozwoli się wymigać.

Wspólnicy skinęli głowami na zachętę, koniakówki w ich dłoniach także jakby zaczęły czekać na odpowiedź, a ja uświadomiłem sobie, że właśnie na szali znalazła się moja przyszłość.

– No!... – ponaglił prezes.

Nabrałem powietrza i siląc się na nonszalancję, wyrzuciłem z siebie:

– No... wiecie, panowie... Ja... po prostu... lubię sikać do zlewu...
Najpierw ogłuszyła mnie cisza. A potem zerwał się taki huragan śmiechu, że nieomal wywiał mnie z sali.
Wszystko stracone – pomyślałem.
Prezes ponownie objął mnie ramieniem i kiedy śmiech zelżał, a wspólnicy, ocierając załzawione oczy, wzajemnie poklepywali się po plecach, powiedział z dumą:
– Tak trzymaj, synu! Dyskrecja i poczucie humoru to podstawa sukcesu!

Miał rację.
Właśnie to, do dzisiaj, stanowi wizytówkę mojej firmy.
A Babcia? Wiadomo. One zawsze skłonne są zrobić wszystko dla swoich wnuków.

Kochana Babcia Kirke...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Miladora, dodano 27.12.2017 15:30

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.